

Potomkowie zbuntowanego pułkownika. Cz. I

CZARNE PŁYTY I „CZARNE CHMURY”

Zapomniany cmentarz w lesie

Był rok 1964. Pełnia lata. Podczas jednej z wędrówek poznawczych po okolicy obok wioski **Żydowo** natrafiłem na ukryte w lesie tajemnicze groby. Pewno dawno zapomniane, bo mocno już zarosłe płożącym się bluszczem, krzakami i młodymi drzewkami. Jedyne ze szczytu wzgórza, gdzie się znajdowały, biegła w dół ku wiosce nikła, z trudem dostrzegalna wąska ścieżynka - znak, że ktoś kiedyś tędy chodził. Z drugiej strony kierował się ku szosie ledwie rozpoznawalny w gąszczu innych drzew szpaler dębów.

Zrazu nie spostrzegłem ani dębowej alei, ani tej ścieżki. Potem dopiero zauważyłem, że obie zbiegały się w tym samym punkcie, na który przed chwilą zupełnie przypadkowo się natknąłem. Tutaj dróżki osiągnąwszy cel spotykały się ze sobą. Nie wiedziałem przedtem o nich. Szedłem wówczas na przelaj wiedziony jakby jakimś instynktem i, niczego nie spodziewając się, nagle stanąłem jak wryty.

Przede mną w zarośniętym do cna zakątku lśniły w lipcowym słońcu dwa rzędy sporych rozmiarów kamiennych płyt. To one przyciągnęły mój wzrok. Reszta tonęła w zielonym półmroku. Ułożone w ordynku płyty spoczywały na sztucznie usypanym płaskim, prostokątnym wzgórzu, u stóp którego wycięto niegdyś w zboczu dwa schodkowe tarasy. Stamtąd dostrzegłem, że platforma terenowa z nagrobnymi płytami na wierzchu kryła niżej coś więcej. Bez wątpienia jakąś budowlę wtopioną w grunt. Najpewniej krytą grobową, której ceglane lico wystawało trochę ponad ziemię. W głębi, za platformą, wznosił swój surowy kształt omszały już z lekka gład narzutowy, a z przeciwnej strony walały się w nieładzie jeszcze dwie płyty nagrobne. Te ostatnie wykonano z betonu. Całość tworzyła mały, zapomniany już chyba cmentarzyk.

Zainteresowanie niespodziewanym odkryciem rosło z minuty na minutę. Uderzała tajemniczość miejsca oraz kontrast form i użytych materiałów — od prymitywnego betonu aż po luksusowy czarny granit szwedzki. Owa zagadkowa budowla była niewątpiwie czymś grobowcem. Ale czym? Odpowiedzi na to pytanie zacząłem szukać pośród epitafijnych napisów. Z tym był jednak mały problem: wszystkie w języku niemieckim. Wykuto je różną literą, od prostego kroju aż po przeladowane ozdobnikami gotyckie pismo. Jedne wyrazistsze, inne mniej wyraźne, a napis na gładzie prawie nie do odczytania.

Wiedziony ciekawością kogo one upamiętniają powoli zacząłem wyłuskiwać pojedyncze słowa: nazwiska, imiona, rangi wojskowe, tytuły, daty... Mnóstwo dat. Przeważały daty urodzeń i zgonów. Ktoś tam urodził się w dalekim Monachium („Munchen”), ktoś inny we Frankfurcie, a jeszcze inny w Prusach Wschodnich - a więc daleko stąd. Jedyne daty zgonów, jak w soczewce, ogniskowały się z reguły w jednym miejscu: „Siede”. Wiedziałem, że była to przedwojenna nazwa Żydowa. Na prawie wszystkich płytach figurowało znajomo brzmiące w uszach nazwisko - Kalkstein.

Kim był Kalkstein z Żydowa?

Już gdzieś zetknąłem się z tym nazwiskiem! Nie było mi całkiem obce, ale kojarzyło się z innymi stronami i z inną epoką historyczną. Wiedziałem także, że pewien Kalkstein walczył w szeregach Armii Krajowej; że schwytany przez nazistowskich siepaczy wydał w ich ręce komendanta głównego AK - gen. „Grotą” Roweckiego /l 895 - 1944/. Różnie zresztą o tym pisano. Lecz jego wymuszony torturami, a może rzeczywiście zdradziecki postępek miał miejsce podczas okupacji, a w dodatku nie tutaj, lecz w Warszawie. Inni Kalksteinowie (Kalcksteinowie) rojno występowali w dostępnych mi dziełach historycznych, encyklopediach, słownikach... Niestety, źródła te z reguły lokowały ich w odległych stąd stronach i w minionych dawno czasach. Zbyt odległych, aby łączyć je z tym, co miałem przed sobą. Za mną zaś, w dolinie, rozpościerało się ciche podbarlineckie Żydowo, a tutejsi Kalksteinowie - jak wynikało z nagrobnych inskrypcji - do 1945 roku byli prawdopodobnie właścicielami wioski.

Odwiedziłem to miejsce jeszcze kilka razy. Nic się nie zmieniło. Granitowe tafle nadal lśniły czarnym połyskiem, a ja tkwiłem w naiwnym przekonaniu, że nie ma na świecie nic trwalszego od niezniszczalnego, zdawałoby się kamienia. I to jakiego kamienia (!) - materiału specjalnie sprowadzonego ze Skandynawii.

Stałem tam za każdym razem dłuższy czas w zadumie wpatrzony w wyniosłe w swej prostej elegancji czarne pomniki. Rozmyślałem nad tym, kogo i co one upamiętniają, podziwiając zarazem ich wysoką klasę. Zaintrygowały mnie jednak owe dwie niepozorne płyty betonowe. Przy tamtych z granitu wyglądały jak ubogie krewniaczki, chociaż na obu czyjaś niewprawna ręka wytłoczyła to samo dumnie brzmiące nazwisko: „von

Kalkstein". O szlacheckim rodowodzie świadczyło znamienne „von” przed nazwiskiem.

Skąd ta rażąca kontrastem różnica materiałów i form?

Zastanawiał ten kontrast. Wyżej, na krypcie, pysznił się swym czarnym blaskiem monumentalny granit, a tuż obok umizgiwał się do niego tandetny beton. Temu drugiemu ktoś nadał kształt nagrobnych płyt i ozdobił je jak umiał. Na jednej z dwóch betonowych tablic pod nazwiskiem „Ludwig von Kalkstein” widniała data śmierci: 27 marca 1945 r.

Zaintrygowała mnie ta data. Przecież w marcu 1945 roku Żydowo wraz z Barlinkiem opanowane było już przez żołnierzy Armii Czerwonej!! Miejscowi Niemcy zostali ubezwłasnowolnieni, a Polacy - z nielicznymi wyjątkami - napływać zaczęli w te strony dopiero później.

Kim był ów zagadkowy Ludwig von Kalkstein (?) i kto w tym niebezpiecznym i pełnym zamętu czasie odważył się postawić mu nagrobek?

Bohater powieści i filmu?

Około 10 lat później w nawiązanej przypadkowo rozmowie postać tę przybliżył mi trochę nieodżałowany Jan Szałapski (1924 – 1981). Pan Jan jako chłopiec mieszkał przed i w czasie wojny w Żydowie. Zapytany o Ludwiga potwierdził mój wcześniejszy domysł, że był on ostatnim dziedzicem tej uroczej wówczas wioski. Dodał przy okazji wiele pochlebnych słów o rotmistrzu Kalksteinie oraz kilka własnych wspomnień i spostrzeżeń. Do osoby rozmówcy i do jego relacji powrócę jeszcze w stosownej chwili, a tymczasem...

Tymczasem zaciekawiony barwną opowieścią naocznego świadka tamtych czasów, w najbliższą niedzielę odwiedziłem znów cmentarzyk. Z trudem rozpoznałem to miejsce: zarośnięte, zdewastowane i ... obrabowane. Zniknęły przede wszystkim cenne granitowe płyty (osiem), z których miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o tutejszych Kalksteinach. Zainteresowało mnie ich pochodzenie. Był ku temu po-wód, ponieważ na rynku księgarskim ukazało się już drugie wydanie dwutomowej powieści Eugeniusza Paukszty pt. „Buntownicy”*. Chciałem sprawdzić, czy Kalksteinowie z Żydowa mogli mieć jakiś związek z bohaterem powieści noszącym to samo imię i nazwisko. Paukszta ubrał w fabułę fakty ściśle związane z bardzo ciekawym fragmentem dziejów Polski. Opisane przez niego zdarzenia miały jednak miejsce w latach 1669 - 1672, a w polskiej literaturze naukowej bardziej znane są pod mianem „Sprawy Kalksteina”. Ludwig Kalkstein z powieści to pruski szlachcic (i zarazem polski patriota), który jako jeden z przywódców opozycji wobec rządów elektora Fryderyka Wilhelma (1640 – 1688) dążył do zjednoczenia Prus Książęcych (Wschodnich) z Polską.

Tu spoczywał inny Ludwik Kalkstein. Tutejszy rotmistrz też był niemieckim szlachcicem, ale czy miał on coś wspólnego z tamtym sławnym pułkownikiem? Może jakąś wskazówkę nt. pokrewieństwa z historyczną postacią zawierały skradzione płyty nagrobne przodków Ludwiga?

Niestety, już ich nie było.

W jakiś czas potem TVP rozpoczęła emisję wieloodcinkowego serialu historycznego cieszącego się dużą oglądalnością. Film pt. „Czarne chmury” był prekursorem wchodzącego wtedy w modę kina akcji.

Wartko przedstawiony tok wydarzeń niemal w całości odpowiadał treści powieści E. Paukszty „Buntownicy”. Ta sama epoka, zdarzenia, osoby, strony... Wszystko w zgodzie z prawdą historyczną. Wszystko, z wyjątkiem jednego: nazwiska głównego bohatera.

Tak w książce, jak i w filmie bohaterem tym był jeden z przywódców buntu przeciw „Wielkiemu Elektorowi” walczący z determinacją o przyłączenie Prus Wschodnich (wówczas Książęcych) do Rzeczypospolitej. Życie zakończył tragicznie. Zdradziecko porwany z Warszawy przez agentów Fryderyka Wilhelma został stracony na rynku w Kłajpedzie. Z historii wiadomo, że buntownikiem tym był Ludwik Christian Kalkstein - Stoliński (ok. 1630 – 1672) i pod takim nazwiskiem figuruje on w powieści E. Paukszty.

W serialu natomiast ta sama postać z nieznanых powodów (być może politycznych) nosi niby z litewska brzmiące nazwisko: „Dowgird”. Świątną kreację owego „pułkownika Dowgirda” stworzył w filmie znany i lubiany aktor Leonard Pietraszak. Pietraszakowi partnerował równie znakomity Ryszard Pietruski w roli wiernego towarzysza pułkownika - Kacpra. Ekranowy Kacper - podobnie jak główny bohater serialu - wcale nie był wymyślony przez scenarzystę. To również postać z krwi i kości. Tak naprawdę był Węgrem i nazywał się Kasper Pilz.

Co mogło łączyć sławnego pułkownika z małą podbarlinecką wioską? Oczywiście nic. Taka odpowiedź, jakie pytanie. Odwróćmy je zatem: - Jaki związek mogli mieć Kalksteinowie z Żydowa ze znanym bohaterem powieści i filmu? Poprawnie sformułowane nie brzmi już tak nedorzecznie. Kto wie...? Może jakaś nić łączyła dziedziców tutejszej wioski z tamtym niepokornym herosem? Tylko jaka? A jeśli nawet, to jak tę nić odszukać i powiązać ją w jeden nierozzerwalny wątek?!

Bez żadnych szans na powodzenie w dotarciu do sedna rzeczy postanowiłem, mimo wszystko, dalej poszukiwać odpowiedzi na to natrętnie powtarzające się pytanie.

Cdn. Kazimierz Hoffmann

* Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1968 r. (I wyd. 1963). Wcześniej: „Straceńcy” (1957).